№ 36. Warszawa, dnia (22 Sierpnia) 3 Września 1898 roku. Rok XL.

# TYGODNIK MOD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu z szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz z szpaltowy garmontu kop. 50

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

## KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Ja nie drwię. Żebym przypuszczała, że to jeszcze trwa, nie odezwałabym się słowem. Chciałam wpłynąć na pana, widzę jak matka pana cierpi. I teraz doprawdy w rozpaczy jestem, że to z mojej przyczyny a rady nie widzę. Żeby ciocia Dysia żyła?

— Żeby żyła!—powtórzył — i mnieby lżej było, boby mnie zrozumiała i umiałaby może z losem pogodzić.

— Co mam robić, co mam robić! — zamruczała Stasia, naprawdę strapiona.

— Po co się pani troska. Niech woda płynie—odparł już znowu spokojny.

— Dobrze panu mówić. Pan się uparł jak muł. Pan niema jak ja długów wdzięczności

— To i cóż z tego. Może pani być pewna, że ja tych mniemanych długów odbierać nie będę. Żeby mi pani za nie siebie ofiarowała, tobym odrzucił. Niema o czem mówić. Oto i dopływamy. Zaraz każę konie przyprowadzić.

Przybił do brzegu, wyskoczył i podał jej rękę. Wysiadła też, zamyślona, roztargniona, i smutna.

— Dziękuję! — rzekła, opierając się o jego ramię. — Wie pan, wolałabym być na pańskiem miejscu, niż na swojem. Mam chaos w głowie.

— Gniewa się pani na mnie?

— Nie. Cóż pan winien! — odparła łagodnie.—Szkoda, wart pan kogoś lepszego.

Od tej chwili począł duch Kazia chodzić jej po głowie, jak strachy w starym domu. Zaimponował jej swą stałością i powagą uczucia.

Patrzała na niego z zajęciem, jakby dopiero go poznała. Podobało się jej, że się niczem nie zdradzał, że jej się nie zalecał, nie usługiwał, nie ścigał oczami. Zabawiły w Rudzie trzy dni, a on na chwilę nie wyszedł z powagi i panowania nad sobą, nie szukał zbliżenia i rozmowy sam na sam. Jakby ten spacer łódką snem był, tak do tamtego był niepodobny.

Gdy odjeżdżały, przeprowadził je konno wiorst parę do folwarku, i dopiero gdy się pożegnał, i Stasia raz jeszcze się obejrzała, zobaczyła, że patrzał za niemi tak, jak wtedy na łódce, smutno a gorąco. Wiedział bo, że znowu się nie zobaczą prędko, pomimo, że na zaproszenie Ozierskiej, obiecał ich odwiedzić, gdy tylko czas znajdzie.

Ale czasu widocznie nie znalazł, bo lato całe przeszło, a on się nie pokazał, ilekroć zaś Stasia przyjeżdżała do chorych w szpitaliku, on nie był w domu. A że przyjazdy jej miały z góry oznaczony termin — wiedziała, iż wyjeżdżał umyślnie, by się z nią nie spotkać. Pomyślała sobie tedy pewnego razu:

— Co prawda, moc ma i charakter, i zuch cały. Ten się nie rozmyśli łatwo, no i szkoda mi go.

— A gdyby się rozmyślił? — spytała siebie.

— Szkodaby było!—odparła szczerze, i rozgniewała się.

Nie rada była ze siebie.

### XII.

Pewnego słotnego październikowego wieczora, konny posłaniec przyjechał z Rudy, z listem od Kazia. Pani Taida zachorowała na zapalenie płuc, stan był groźny, konie wysłano w ślad za posłańcem.

Ozierska posłyszawszy wieść, załamała ręce.

— Ona z tego nie wyjdzie, zobaczysz. Ona nigdy nie chorowała! To będzie koniec!

Stasi ścisnęło się bólem serce, poczęła rozpytywać posłańca. W Rudzie panował groźny popłoch. Posłano konie na wsze strony. Po nią, po księdza i po Włodzia.

Zaraz też Stasia się zebrała, i Ozierska też ruszyła z nią, płacząc i modląc się naprzemiany.

Przyjechały pod wieczór, wyszedł na ich spotkanie Kazio, i na pytanie o chorą, uczynił ruch rozpaczny.

— Ja nie wiem. Nie wydaje się bardzo chorą, ale odrazu zapowiedziała, że umrze. Cały dzień daje mi rozporządzenia, dyktuje co dalej czynić, co komu się należy, co komu przeznacza — wszystko najprzytomniej!

— Chciała nas widzieć?—spytała Ozierska.

— Tak. I księdza, i Włodzia.

— Pójdę do niej!—rzekła Stasia.

Zawahał się sekundę i westchnął.

— Proszę pani—rzekł smutno.

Poszli we dwoje na palcach, cichutko. U drzwi sypialni zatrzymał ją za rękę.

— Niech mi pani daruje. Pytała mnie co mi jest, musiałem wyznać. Wie wszystko — szepnął.

— To dobrze! — odparła spokojnie.—Wejdź pan i spytaj, czy mnie chce widzieć.

Otworzył zcicha drzwi. Chora nie spała.

— Czy to ksiądz przyjechał, Kaziu? — spytała.

— To panie Ozierskie, mamo. Panna Stanisława chce wejść.

— A to dobrze. Niech przyjdzie.

Leżała jakby zdrowa, nie zmieniona, tylko dyszała mocno. Uśmiechnęła się do Stasi.

— Widzisz, zabieram się w drogę. Chcesz mnie opukać? Niech i tak będzie, dla wa-

szego spokoju, żeście ratowali jak mogli. Ale ja umrę, moje dzieci, na to się przygotujcie. Dysia już po mnie przychodziła.

Stasia wzdrygnęła się.

— Pani ma trochę gorączki — rzekła przyklękając u łóżka do badania.

Oparty o poręcz, Kazio śledził jej ruchy. Pani Taida cierpliwie dała się osłuchać i opukać.

— Trochę lewe płuco zajęte, ale doprawdy nic groźnego—rzekła Stasia powstając. Bańki zaraz pani postawię i zrobię miksturę. Z tego jeszcze nikt nie umarł. Dlaczego pani nas straszy.

— Moje dziecko. Ty rób swoje—ratuj. Ja też swoje zrobię, przygotuję się do drogi. A gdzież twoja matka.

— Jestem! — ozwała się Ozierska za drzwiami.

— No, mam opiekę. Dziękuję wam, żeście przyjechały. Weźże, Kaziu, klucze i zajmij się domem. One przy mnie posiedzą. Włodzio nie przyjedzie aż jutro.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

# Sprawozdania literackie.

Władysław Orkan — Nowele.

Czytelnikom „Tygodnika" znaną jest ze szczegółowego sprawozdania, pomieszczonego na początku roku bieżącego piękna powieść Sewera p. t. „Matka."

Przypominają sobie zapewne wieśniaczkę-bohaterkę, walczącą z biedą, głodem, trudem o światło dla dzieci, matkę przeczuciem niewieścim odgadującą w młodszym synu wielki dar poetycki, śniącą dla niego sławę Słowackich, Mickiewiczów...

Nie wyszedł im też zapewne z pamięci pomieszczony na końcu książki dopisek, w którym autor zapewnia, że cała opowieść jego jest wiernem odbiciem znanych mu faktów, i wymienia po raz pierwszy pseudonim literacki: Władysław Orkan, zastępujący ojcowskie miano synowi biednych wieśniaków z okolic Limanowy.

Wszystkim tym, których serca raduje objawiający się dziś śród ludu popęd ku wiedzy, którzy wierzą, że w łonie tego ludu drzemią obok wielu innych nie budzone dotąd potężne siły artystyczne, miło będzie dowiedzieć się, że przeczucia matki-chłopki zaczynają przybierać kształty rzeczywiste, że syn Magdy, Władek z Poręby, czyli Władysław Orkan w szeregu piszących stanął, że wydał tomik nowel, a wkrótce i tomik poezyi jego ujrzymy w druku, że wreszcie znany poeta Kazimierz Tetmajer dostrzega w dwudziestoletnim autorze wielki talent.

Przypatrzmyż się tym pierwszym plonom młodziutkiego pisarza.

Wszystkie nowele Orkana osnute są na motywach ludowych, co nie powinno dziwić nas, wszak wyrósł pod strzechą wieśniaczą, poznał wszystkie jej niedole i smutki, ukochał życie to twarde, pozbawione wdzięków, którymi krasi je wyższa cywilizacya, ukochał biednych siermiężnych braci swoich...

W przygrywce umieszczonej na czele książki wypowiada autor młodzieńcze swoje wyznanie miłości:

Ukochałem lud biedny nad miarę—
Bom się jego pieśnią wykołysał...
Ukochałem zwyczaje i gwarę —
Które, dziecko, z piersi jegom wyssał.

Co mnie wiąże z ludem jeszcze szczerzej,
Powiem—choć mi wielu wiary nie da:
To niedola, która w nim się szerzy—
Oto wspólna towarzyszka—bieda...

Może ona zaćmiła mi oko,
I przesłania serc biedaczych głębię,
Że nie mogę patrzeć tam—wysoko
I od ludzi sam gnębiony—gnębię..

Może ona zaćmiła mi słonko,
I na nerwach zwinęła promienie,
Że gdy chodzę serc ludowych łąką,
Poza światłem wszędy widzę cienie...

Poza światłem cienie widzę zawdy,
Łzy mię ciągną więcej niźli blaski,
Lecz do ludu nie schodzę jak z łaski
Ja w nim samym szukam tylko—prawdy.

Przygrywka ta daleka jest od doskonałości artystycznej, a mimo to pociągająca szczerością i serdecznością uczucia, zawiera w sobie dość trafną charakterystykę dotychczasowej twórczości młodego autora.

Kocha on lud, kocha go, bo biedny i nieszczęśliwy, ale ta pamięć nędzy wieśniaczej cieniem smutku powleka młodą jego wyobraźnię. Młodość jego nie jest „górna i chmurna," ale poważna i przygnębiona. Cienie tak zaległy jego duszę, że prawie nie widzi świateł. Mgły z łez nędzarzy powstałe przesłaniają mu nawet głębie ich serc tak, że poza biedą, poza nędzą materyalną, autor żadnych innych motorów, żadnych innych pobudek, czynów ich nie dostrzega. Ale choć kocha tych nieszczęśliwych, choć niedola ich porusza go do głębi, on nie chce stroić ich w fałszywe blaski i uroki, on o nich pragnie mówić tylko—prawdę.

Ten ślub służenia tylko prawdzie powtarza autor po raz drugi na ostatnich stronnicach książki, w alegorycznym urywku, świadczącym o poetyczności jego umysłu. We fragmencie tym autor odsuwa od siebie dwie nieodstępne drużki swoje: Miłość i Fantazyę, które stroiły mu życie i świat w ułudne szaty, a podaje dłoń kochance-prawdzie i smutny zchodzi z nią na doliny.

Istotnie, mimo młodego wieku, oskarżanego słusznie o skłonność do złudzeń, mimo gorącego przywiązania do ludu, które czujemy w każdem jego słowie, Orkan nie idealizuje społeczności wieśniaczej.

Ze szkodą artystycznej strony utworów swoich, skrępowawszy fantazyę (miłości wyrzec się nie zdołał), stara się on fotografować niemal widziane obrazy. Niekiedy przenosi na papier całe sceny z życia, nie stanowiące artystycznej całości, całą nagą rzeczywistość z jej nudą i niesmakiem, nieprzepaloną w ogniu ideału. Do takich pod względem artystycznym najmniej udatnych utworów zaliczam „Dwie kartki z życia nauczyciela" i „Na zarobek," o innych powiem jeszcze słów kilka.

„Przeznaczenie" to opowieść o smutnych losach emigranta-wieśniaka, który odpływając do Ameryki pozostawił w domu młodą, piękną i do niepamięci kochaną żonę. Po kilku latach powrócił, żony w domu nie zastał, poszła gdzieś w świat z innym, sprzedawszy część ojcowizny. Resztę wyłudzili od niego kochający sąsiedzi. On z pieniędzmi za sprzedaną rolę poszedł szukać niewiernej. Odnalazł ją, i spojrzawszy w jej urokliwe oczy, przebaczył. Pieniądze oddał ukochanej i chciał wieść dalej żywot po dawnemu. Ona pieniądze przyjęła, i zostawiwszy szaleńcowi dzieci, ulotniła się znowu z kochankiem.

Przeznaczonem było biedakowi takie dziwne mieć losy i dziwny zgon, który zatrwożył współmieszkańców wioski i nabywców jego kawałka ziemi.

Właśnie u wójta zgromadziła się rada, cztery butelki już wypróżniono i szła ósma kolejka, „gdy nagle wicher złamanym konarem jabłoni trzasnął w szybę... Szkło rozprysło się w drobne kawałki, a wiatr skoczywszy otworem, zdmuchnął ciemne światło lampy... „Wzdrygli" się radni, każdy przerażonym wzrokiem poglądał w okno...

Chwilę cisza w izbie zapanowała, tylko na dworze huczało coraz to głośniej. Wójcina wpadła do izby, zatkała poduszką wybitą szybę i zaświeciła lampę. Przerażenie ustępowało powoli z twarzy radnych, nowa kolejka rozweseliła zalękłych.

Wtedy do izby wsunął się milczkiem „chuderlawy" człeczyna...

— Ho! Jędrek od Kopańdy! — rozległo się od stołu. — Jędrzeju w wasze ręce!.. Co ta słychać u was?..

— Ha, nic tak ciekawego... — mówił spokojnie człeczyna—młynarz się obiesiół."

Cała ta scena napisana jest z temparamentem, efekt tragiczny podniesiony współudziałem sił przyrody w męczeńskiej zawierusze dusz ludzkich.

W „Zemście trupa" poruszył autor okropny temat niewdzięczności dzieci. Ojciec wysłany na starość „na żebry," jest niestety w naszem życiu ludowem dość pospolitem zjawiskiem, które i w literaturze bywało już niejednokrotnie zużytkowane. Niezbyt dawno Reymont ukazał potworny obraz zgonu starego ojca w zimnym chlewie, dokąd go zbrodnicza córka z pomocą męża swego wrzuciła.

Orkan, który pochodząc z ludu i mając dlań duszę pełną miłości, dalekim jest od rzucenia nań oszczerstw gwoli podniesienia nowelistycznego efektu i wywołania „szekspirowskiej grozy," opowiada wprawdzie o synu wyrodnym, co pozwolił staremu żebrać, żałował mu łyżki strawy, i z trupa świeżą chciał ściągnąć bieliznę, ale okropności te łagodzi wprowadzeniem na widownię jasnej postaci Nastki, synowej, która dla nieszczęśliwego starca miała przywiązanie córki, żywiła go mimo gniewu męża, broniła przed jego zawziętością, i na swojem łóżku, pod dachem własnym pozwolila umrzeć staremu.

Dużo poezyi ma w sobie „Pogrzeb," fragment nie będący właściwie nowelą, ale wspomnieniem z lat młodzieńczych autora.

Pieśni cmentarne ludowe, które powtarza autor dodają mu wiele uroku. Dwa chóry umarłych i żywych rozmawiają ze sobą. Młodzi pytają grobów:

Zatrzymajcie się—rozpytajcie się:
Czy jęczą prochy?
O syny, córki!.. co te pagórki,
Co szepczą te lochy?..

A odpowiedź grobów płynie:

Pominęli nas—zapomnieli wczas,
I nie rzekli nam:
Wieczny pokój wam!

I bolesną powtarza się skargą. A żywi pytają się znowu:

Odezwijcie się—upomnijcie się
Smutne kostek jatki!..
Nie zna was cudzy—i słudzy,
Nie znają was dziatki...

Odpowiedź umarłych, jak z grobów jękiem się wydobywa:

Śpimy głęboko... Już wasze oko
Nie zobaczy nas
Chyba w sądny czas!..

„Dzieckiem jeszcze wypłakałem duszę przy tych cmentarnych śpiewach ludowych — mówi autor.—I nie żal mi smutku owego... Kto chce lud poznać, niech idzie słuchać jego nagrobowych pieśni.”

Ładnym urywkiem jest wspomnienie z ludowej zabawy nocnej przy sianokosie, zakończone pessymistycznem orzeczeniem starego wieśniaka:

„Skrzypki grają—adyć grają! A mnie wiecznie *bieda gra!*

Ogólne wrażenie z książki p. Orkana wynosi czytelnik bardzo dodatnie.

Pamiętając, że ma on lat dwadzieścia i że to są pierwsze jego kroki, jak wyraża się w życzliwej swojej przedmowie Tetmajer, przyznać musimy, że okazał i talent, i dużo uczucia, i pewną werwę autorską, która zdaje się zapowiadać zdolnego pisarza. W staraniach o oddanie niepokalanej prawdy życia, czuć przeświadczenie młodego autora o ważności autorskiego powołania, czuć, że pragnie być społeczeństwu swemu użytecznym, nie marzy jedynie o zdobyciu lauru, na ozdobę młodej skroni.

Jakikolwiek zresztą zarzut, jakąkolwiek naganę chciałoby się wypowiedzieć, pióro odmawia posłuszeństwa, bo przed oczami staje mi pochylona trudem i wysiłkiem postać matki autora, pełna wiary i nadziei, postać czytelniczki żywotów Świętych Pańskich, postać biednej góralki silnej duchem i sercem. Wobec postaci tej zamilknąć wypada.

*H. C.*



# EPIZOD ZE STOSUNKÓW
# polsko-żydowskich w Galicyi.

(Dokończenie.)

Następny tydzień niespodzianie zupełnie przyniósł nam nieco objaśnień dotyczących osoby tego jakiegoś Uryma, który miał być nieszczęśliwym w handlu, który na wszystkiem tracił, a przeto familii takiej jak ta, do której się liczył, honoru wcale nie przysparzał. Powodzenie widome jest w pojęciach tych ludzi nietylko nagrodą należną zasłudze, ale nadto niechybną oznaką niewidomego błogosławieństwa Bożego, które oczywiście inaczej się na tej ziemi objawić nie może, jak pod postacią darów fortuny. Objaśnienia te spadły nam przez usta człowieka, który w Galicyi dużo trwogi i niepokojów z natury za wodu swojego, sieje między jednostkami w jakikolwiek sposób poróżnionemi z prawem obowiązującem, i który jako taki właśnie używa w ich sferze większej powagi niż popularności. Za to ta cała część ludności, która ma względnie przynajmniej spokojne sumienia, i w żadnych nieporozumieniach bezpośrednich ani pośrednich z władzami nad tak zwanem bezpieczeństwem i spokojem kraju czuwającemi, nie zostaje, ta cała ludność tego mandataryusza Austryi konstytucyjnej, nazywanego w języku miejscowym poprostu żandarmem, uważa nie bez słuszności za gorliwego i energicznego obrońcę własności i porządku. Pełno żandarmów takich snuje się po drogach. I tam gdzie przestępstwo spełnione, i tam nawet, gdzie się dopiero na nie zanosi, wyrasta on niby z pod ziemi, a że dobierają do tej funkcyi ludzi przedsiębierczych, opatrzonych węchem profesyjnym, i znaczną bardzo w stosunku do skromnego stanowiska swojego władzą, więc dziwić się trudno, że mało tam przestępstw zostaje niewykrytych, a co najważniejsza, że znacznej ilości ich w zarodku samym przecinają oni drogę do wykonania.

Otóż, tak jak to peryodycznie miewa miejsce, zjawił się ten myśliwiec, powierzchownością i szykiem żołnierskim zupełnie przypominający włoskiego bersagliera, i po kilku zapytaniach regulaminowych, dotyczących spokojności na obszarze dworskim, przystąpił do tego, co, o ile można było przypuszczać, stanowiło główny cel jego wizyty.

— Tu sprowadził się Urym R...? wszak tak?

— Podobno.

— Brat arendarza?

— Tak; on mówi, że to jego brat.

— I ten wziął dla niego karczmę.

— Nie, on wziął na siebie.

— To wszystko jedno. Czy pan wie co o tamtym?

— Właściwie nic—odpowiedział po namyśle mój gospodarz. — Mówiono mi, że mieszkał na Bukowinie, że tam stracił wszystko, i że oni chcą mu tu przyjść z pomocą, czy coś podobnego—zresztą nie wiem.

— Tak, to trudno wiedzieć, czego oni chcą, ale niby, że on stracił pieniądze, to pewno, tylko nie w handlu.

— A zkądże pan wiesz? przecie on na Bukowinie przemieszkiwał.

— Na jakiej Bukowinie, proszę pana. Dobra Bukowina! On mieszkał przez trzy lata, ale nie na Bukowinie, tylko w Wiśniczu, i na to się tak wykosztował, bo gdyby nie to, toby mu się nie trzy lata, ale jakie dwanaście dostało... To ptak, panie! mądry ptak! My jego mamy na wykazach i pilnujemy odkąd się tu zjawił, bo już tam, gdzie on się osiedli, to zawsze się coś musi robić. Nie dziś to jutro. Proszę jednakże nic mu nie mówić, bo to niepotrzebne wcale, żeby on czuł na sobie oczy—owszem niech będzie swobodny, to prędzej zacznie. Niechże pan pamięta, żeby im nie mówić o tem. Kto sieć pod lodem zaciąga, ten po stawie nie bębni. Cóż robić? taki już nasz chleb, panie, a zresztą chyba gorzej byłoby bez nas jak z nami—dodał, spostrzegając, że ten jego trochę prowokatorski sposób postępowania niezupełnie przypada do smaku.

Pożegnany jednakże dobrem słowem odszedł ten gość w swoją drogę, a wieczorem zjawił się arendarz, wyraźnie żeby zrekognoskować na miejscu, czy pozostawił on jakie informacye lub nie. Zabrał się naturalnie do tego ze zwykłą dyplomacyą żydowską, opowiedział wpierw o dziesięciu innych sprawach, a w końcu dopiero mimochodem niby wrzucił, co to za gwałtownicy i natrętni ludzie są ci żandarmi.

— I dziś tu był jeden — mówił w tonie obrażonej godności — czepiał się mego brata o paszport, a wypytywał, a badał, jak gdyby on nie wiem jaki człowiek był podejrzany.

— Bardzo grube ludzie są ci żandarmi, bardzo niedelikatny naród, a tylko na ręce patrzą człowiekowi—dodał pogardliwie.

Ta ostatnia insynuacya chybiła naturalnie celu, bo wiadomem było dobrze, że do żandarmeryi w Austryi pieniędzmi nie trafi, ale żeby czujności nie budzić, a tamtemu z przyrzeczenia się wywiązać, więc przyjął gospodarz domu za dobrą monetę to wszystko, a nawet zgodził się, że żandarmerya galicyjska to są wogóle ludzie nadzwyczaj grube. Pozostawał tedy fakt, że ów pan Urym jest to sobie stary grzesznik wcale niezwyczajnej miary, jak to jego najbliżsi a nieproszeni opiekunowie twierdzili, i że jakiś zupełnie wyjątkowy cel musiała mieć jego rodzina w zainstalowaniu go tutaj na tem leśnem odludziu. Aby przekonać o istotnym stanie rzeczy, zaprowadził mnie tegoż zaraz popołudnia mój gospodarz, a że to był właśnie kończący się roztop wiosenny, to co było do obejrzenia, obejrzałem.

Przedstawiała się w istocie sprawa cała tak, że kto chciał się schować przed światem, temu w kącie tak zapadłym, jakim było to Cisie, powinno było wydać się zacisznie i bezpiecznie, ale ten ktoby myślał w tem miejscu proceder jakiś utrzymywać, na stosunki z ludźmi liczyć, a tembardziej żyć z ludzi, jak to jest właśnie rzeczą każdego arendarza, ten musiałby na czysto chyba być z rozumu obranym. Cała północna stoczystość ku dolinie Białej i Dunajca tu się rozpoczynała — stoczystość stroma, przerżnięta wąwozami

a jak tu zowią, paryami, obrosła bukowym, brzozowym i jodłowym lasem. Stoków gór ku północy pochylonych nie obsiewają rolnicy na tem Podbeskidziu, bo są one prawie zupełnie nieurodzajne ze względu, że słońca nie widują nigdy; za to las buja tu i pędzi tak, że my mieszkańcy równin piaszczystych żadnego sobie o takich szybkich porostach nie możemy stworzyć pojęcia. Zresztą widoki z jakimi w Alpach Szwabskich tylko spotkać się można, a przyroda, która skąpi ludziom chleba, wynagradza to sowicie w inny sposób. Drzewo i pastwiska leśne niezwyczajnej bujności, oto kompensata rolnika, który wie jakie w tych lasach i w tych pastwiskach leżą źródła zamożności, ale i to mu także obcem nie jest, że się chleba po tych, na oko żyznych ziemiach spodziewać nie można. Tu też ze wszystkich wiosek wąwozami, drogami, ścieżynami nawet i miedzami, dopędza dziatwa wiejska latem krowy swoje, tu się one statki, jak ich lud górski zwie, przeżywiają, wetując sobie chudą zimową strawę, jaką w większej części dobytek tutejszego małego właściciela zadawalniać się musi przez zimę.

Oto wszystko co tam znaleźć można było. Dla hodowców wszelkich trzód—eden, dla malarza nieprzebrane bogactwo grup drzew, skalnych złomów, paryj i wirchów górskich, ale dla arendarza galicyjskiego śmierć głodowa w całej grozie swojej wyzierała z tych kniei i ostępów. Ani jednej drogi — ani jednego przesmyka nawet. Oprócz ścieżyn wydeptanych przez bydło w porze letniej—nic.

A przecież coś w tem być musiało; cała ta rodzina żydowska, na coś konkretnie korzystnego liczyła chyba z pewnością,

Odpowiedź na tę zagadkę przyjść miała mniej więcej w pół roku — jesienią zaraz, a rzecz miała się tak. Opowiadając fakt autentyczny, oszczędzamy mu wszelkich upiększeń i komentarzy.

Podczas jednej z dorocznych wycieczek arendarza Zyskinda do Sadogóry, zjawił się we dworze żydek pewien, który jak to wiadomem było dobrze znajomemu mojemu, miał z tamtym jakiś zadawniony, a dotąd nierozstrzygnięty spór pieniężny. Przybywszy zaczął traktować o kupno zboża, oświadczył się kilkakrotnie mimochodem z wielką dla rodziny arendarza przychylnością, co wreszcie dziwnem wydać się nie mogło nikomu, kto zna, jak takie antagonizmy i nienawiści żydowskie szybko się niekiedy godzą i uspokajają. Tym razem jednakże nie miał tu miejsca kompromis żaden; był to owszem fortel użyty do wysadzenia z miejsca nieprzyjaciela, fortel, który pomimo że jest niby przez zakon wzbroniony w stosunku do chrześcijan, praktykuje się jednakże dosyć często. Oddawszy tedy z całą układnością sprawiedliwość uczoności w zakonie ojca, rozumowi syna i samemu nawet Urymowi, tak o jego dzisiejszym procederze mówić zaczął:

— I ten Urym, on bardzo mądry człowiek; inny na jego miejscu byłby tam w tej pustce, niech to będzie bez obrazy pańskiej, z głodu umarł, a on sobie żyje nie gorzej, jak duży kupiec, i w dodatku pieniądze robi.

— Pieniądze robi, powiadasz?

— Jeszczeby też! kto taki interes rarytny prowadzi, a dobrze prowadzi, ten musi w pierze porosnąć.

— Cóż to za interes?

— Niby to w-ny pan nie wie.

— Mów w każdym razie, tak jakgdybym nie wiedział.

— Proszę pana, takie orzechy...

— Co?..

— No orzechy—mówię orzechy, zwyczajne orzechy...

— Któryś z nas dwóch jest głupi — gadaj jeśli masz gadać, po prostu — jasno—do zrozumienia.

— Dlaczego nie mam powiedzieć?— powiem, przecie to nasi wszyscy wiedzą. Widzi pan on sobie zaraz, jak się zrobiła wiosna, kupił ćwierć orzechów, bo to tam ten szynk jego, ta wódka, to tak od prezentu tylko, chyba kiedy dla którego z tych jego kundmanów potrzeba, ale interes, ale grunt, to te orzechy.

— Ani słowa nie pojmuję!

— Wielmożny pan potrzebuje być cierpliwym—zaraz będzie i interes. Tam za tem bydłem na pastwiska, to ciągną przecie całe gromady dzieci, a każde najmniejsze nawet wie o tem, że w karczmie można grać w orzechy. Najtrudniej takiemu dziecku o pierwsze pieniądze na tę garstkę do grania, ale to znowu on skredytuje, bo on jest dobry człowiek, a przytem on wie, które i jakiego kredytu warte.

— Z kimże one grają? między sobą?

— Gdzieżby był interes? one z nim grają.

— No i wygrywa też które?

— Jak jemu potrzeba żeby ono wygrało, to wygra—jak potrzeba żeby wygrał on, to już tam dziecko na pewno przegra.

— Jeszcze nie widzę interesu, bo to o centy przecie chodzić musi, a i tych centów u nich w chałupie całej wiele nie znajdzie, a cóż dopiero u dziecka.

— W-ny pan jest bardzo prędki. Tu nie idzie o to, żeby ono zapłaciło, tylko żeby zostało winne.

— A potem?

— Po tem to jest cały interes dopiero, ach co za interes!—niema takiego drugiego na okoliczność. Ono widzi pan przegra, ma zapłacić, a nie ma czem zapłacić. No, to on powiada takiemu dziecku, że on pójdzie do rodziców i powie o tem, a jak ono ma pozwolić na to, kiedy już te jego pierwsze centy były kradzione ojcu albo matce. No, to ono się musi starać, żeby jego zaspokoić tak, coby on był kontent, i żeby jeszcze zakredytował dalej, i grać pozwolił dalej także.

— Ale czem zaspokoi? jak zaspokoi?

— To już jego głowa i jego rozum, niby tego dziecka, rozumie w ny pan? A zresztą z nim nie jest trudno. On wszystko przyjmie i u niego każda rzecz ma taksę swoją. I miarka zboża, i motek przędzy, i garść pierza, i stare żelaztwo, i znoszone obuwie, i łokieć płótna oderżniętego z warsztatu u matki—wszystko co w-ny pan chce. Aj, aj! On wielki pan jest ten Urym, na niego paręset dzieci pracuje, to on musi być bogacz.

— I żadne go nie oskarży?

— Jego oskarżyć? Kiedy to jego niewolniki. Niech wielmożny pan nie myśli, że to tak łatwo. Główkę to on ma ten Urym... O! ma...

---

Dalszych następstw i akcyi sądowej, jaka z tego wynikła opowiadać nie będziemy, mimo że jest pełna interesu, a nadewszystko pełna tragicznego nastroju i potwornych prawdziwie sytuacyj, które w wielkiej ilości zrodziła ta gra w orzechy. Było śledztwo—z początku nawet zdawało się, że do wielkich rozmiarów urośnie sprawa, bo istotnie w akademii złodziejstwa, założonej na tem pustkowiu leśnem pobierały nauki deprawacyi setki całe dzieci z wiosek sąsiednich. Ale ba! Od czegóż wpływy?—od czego solidarność wybranego plemienia gdy idzie o rzecz takiej wagi — jego środki materyalne—i sposoby zatuszowania każdej sprawy— choćby najbardziej wołającej o pomstę do nieba.

Przycichło—zatarło się — poszło w zapomnienie.

*X.*

# PARYŻ.

*Emila Zoli.*

SPRAWOZDANIE.

(Dokończenie).

Ostatecznie skłonność powstała za pośrednictwem roweru, zyskuje finał najpożądańszy. Babcia Leroi powiada, że to co jest, dobrze jest, Wilhelm Froment zrzeka się praw swoich na rzecz młodszego brata, co się wydaje o tyle mniej podniosłem, że gdyby się dobrowolnie nie zrzekł, to i tak na proteście nicby do zyskania nie miał. Ale on woli być dostojnym do końca, bo oto teraz odda się już niepodzielnie sprawom kościoła wojującej anarchii, woli oddać na rzecz świętej sprawy resztę życia i owoc genialnych dociekań swoich zarazem.

Ale czytelnik nawet nie przeczuwa, wiele w takiem sercu męzkiem może być bohaterstwa, i co taki umysł przygotować może za introdukcyę do tej nowej ery powszechnej szczęśliwości.

O cóż właściwie chodzi Wilhelmowi Fromentowi? Chodzi o to, że prawdziwem nieszczęściem ludzkości są wojny — chodzi o to, żeby im raz na zawsze kres położyć. No, i on znalazł sposób na to; znalazł tak potężny środek zniszczenia, że samo jego dywulgowanie światu nie dopuści przedsięwzięcia, bo niema narodu i niema rządu, któryby chciał wziąść na siebie odpowiedzialność za takiego rozmiaru klęski. Ale jak tego dokonać, w jaki sposób oznajmić światu o tem dobrodziej-

stwie? Ogromnie się biedzi nad tem ten genialny Wilhelm Froment, a tymczasem łączy się tych dwoje ze sobą ostatecznie, chociaż szkoda, że szczegółów ceremoniału oszczędził Zola czytelnikom swoim — musiało to być bardzo ładne. Albo może wcale niema żadnych form zewnętrznych dla takiego świeckiego zjednoczenia dwóch doskonale ateistycznych... nie wiemy jak powiedzieć: dusz czy ciał? No, niechaj będzie ciał—zawsze to bliższem chyba będzie prawdy.

Niemniej dobrze byłby zrobił Zola, gdyby był szerzej się nad tem zatrzymał; tym sposobem byłby może rzucił jaką myśl dla cyklistek przyszłości i ich mniej lub więcej doczesnych towarzyszów. Skoro jednak niema nic w tym rodzaju, powróćmy do naszego wielkiego wynalazcy.

Zamknął się w sobie, pracuje od świtu do nocy, nikt go teraz nie widuje, jakkolwiek domowi przeczuwają, że wielka chwila się zbliża—że świat niebawem ujrzy swoją jutrzenkę. Jedna babcia Leroi wie coś więcej, ale co to taka rzymianka! ona ani jednem słówkiem nie dopomoże ciekawości naszej. Coraz uroczyściej w tym domu tylko—coraz poważniejszy nastrój ogólny, co swoją drogą na miodowy miesiąc państwa Piotrów Froment cienia nawet nie rzuca. Jemu, jak powiedział Wilhelm Froment, zdrowie duszy wróciło (gdyby on to był przewidział, co go to uzdrowienie kosztować będzie) a ta Marya?... no, o niej niema co mówić, bo ona jak wiemy była zawsze wyjątkowo zdrową.

A jednak ten ex ksiądz bacznie przypatruje się bratu; on czuje, że się tam w tej duszy coś niezwyczajnego przygotowuje, on widzi, że tam otchłań cała jakichś myśli nieznanych... zresztą on zna albo przeczuwa motywy. Jużcić faktem jest, że on mu zdmuchnął z przed nosa tę cyklistkę, a to bądź co bądź nawet na takiego mędrca i takiego przyjaciela ludzkości musiało drażniąco oddziałać. Żeby on czasem pod wpływem takiego wylewu serca nie zgotował dla swoich wydziedziczonych i pokrzywdzonych zbyt uroczystego tryumfu. Tego zaczyna się lękać Piotr Froment. Koniec końców wiara w wielkoduszność brata jest nieograniczona, ale obawom oprzeć się nie sposób, bo takie celadony 57-letnie bywają zawzięte niekiedy. Śledzi go tedy bacznie Piotr Froment, no i co prawda ma słuszność, bo frazesy wielkie frazesami, a psota była dotkliwa.

Zbliża się tymczasem dzień uroczystego obchodu w Sacré Coeur, ten wielki dzień, o którym wie tylko babcia Leroi, a który niewiedzieć jakim instynktem odgaduje Piotr. Babcia żegna zięcia i życzy mu powodzenia, on pozdrawia uroczyście synów i wychodzi aby ogłosić swój manifest dla cierpiącej ludzkości, który odrazu złagodzi wszystkie rany i rozpocznie nową erę.

Piętnaście tysięcy ludzi bywa zwykle na tej uroczystości w Sacré-Coeur; Wilhelm Froment zna ten kościół, zna jego podziemia daleko sięgające, to też gdy godzina nadchodzi, zwiastun nowej ery, zabiera swoją walizkę, która ciągle stała pod łóżkiem babci Leroi i...

Chyłkiem podąża za nim Piotr, chowa się pod ścianami, czai się, i przychodzi w te lochy w chwili, kiedy Wilhelm ma zatlić łąt.. Te piętnaście tysięcy trupa, nie licząc całej dzielnicy Paryża, to będzie jego manifest powszechnego rozbrojenia świata, bo... bo inaczej, jak on utrzymuje, niktby w taką siłę owej zbawczej substancyi nie uwierzył. Bez tego kościoła w gruzach, bez tych kilkunastu tysięcy ciał ludzi opętanych przez zabobon, bez kilkudziesięciu tysięcy rodzin opłakujących zaginionych, nowa prawda nie objawiłaby się światu w należytym majestacie. Tego dowiadujemy się z walki dwóch braci nad oną demoniczną szkatułką prowadzonej. Wilhelm, który ma siłę spełnić akt tego olbrzymiego, na setki tysięcy dającego się obliczyć, mordu, cofa się przed śmiercią brata, który powiada, że nie ustąpi ztąd, i podzieli los tych ofiar obłędu. Walka trwa godzinę blizko, wypełnia ją przepaść deklamacyj z obu stron, ale w końcu Piotr zwycięża. To siedlisko nieprawości, to Sacré Coeur wraz ze wszystkimi fanatykami swojemi będzie tym razem oszczędzone. Wilhelm pognębiony, zawstydzony, idzie z walizką swoją do domu, nie wiedząc jak się pokaże na oczy babuni spartance.

Ano trudno, skoro nie tędy to tamtędy, byle dla ludzkości, boć tu nie o co, tylko o jej dobro chodzi. Nie pozwolili mu wprowadzić w czyn jego pomysłu (a szkoda prawdziwa), to on jeszcze co innego wynajdzie. Nie będzie to już takie wielkie, ani takie piękne jak tamto, ale zawsze i tak go pokolenia będą błogosławić. No i wynajduje on motorek najtańszy przy pomocy tego środka eksplodującego, motorek, który każdy pracownik mieć będzie odtąd w domu. Siła niszcząca obróci się na zapewnienie błogosławieństwa pracy pokojowej, bo jak zapewnia dawny mistrz Wilhelma ów Bertheroy, którego poznaliśmy, jedna tylko nauka jest prawdziwie rewolucyjną, i ona jedna da światu prawdziwe szczęście.

Jeszcze jedna z rzędu prawd niezaprzeczonych.

Oto koniec głównej części fabuły; rozwiązania całej akcyi drugoplanowej zrzec się musimy, bośmy działaczów rozmaitych epizodów z rozmysłem pozostawili na stronie.

Zresztą poruszanie tych produktów społecznego rozkładu przekracza granice naszego pisma. Że są tam epizody sfotografowane wiernie, niewątpimy ani na chwilę, ale też tyle tylko w summie możemy o nich powiedzieć, że biada społeczności, która stwarza typy podobne. biada życiu wewnętrznemu narodu, który daje z siebie wątek do snucia podobnych scen i obrazów. Słówko tylko jeszcze o „Paryżu," który jest powieścią społeczną, ale i tendencyjną zarazem — przedewszystkiem tendencyjną. Wyspowiadał się w niej autor przed światem ze swoich przekonań z taką szczerą dobrodusznością, z jaką podał temu światu w jaskrawych zestawieniach wszystkie męty, szumowiny, które się przy tej okazyi z łona jego społeczności wydobyć dały na światło dzienne.

Więcej nie dał, bo więcej byłaby już akcya nie zniosła i ramy nie pomieściły. Te męty, to wedle myśli Zoli atrybut wyłączny sfery używającej, posiadającej, dzierżącej w ręku rząd i kierunek wszelkich spraw; jasne barwy, domyślne wprawdzie tylko, bo ich nieuprzedzone oko czytelnika ani widzi, ani odczuwa, ani przeczuwa, zostają niby dla tego co nędzne, zapomniane, pokrzywdzone — co się szamoce w sieciach, któremi je omotały: prawo, dogmat, kapitał, zabobon i t. d., i t. d. Ci upośledzeni i okradzeni przez społeczność dzisiejszą bez obrony jednakże nie są; czuwa nad ich dobrem ten zastęp cały, który zwalcza dogmat, obala hierarchię, podkopuje istniejący porządek rzeczy, depcze obyczaj, który obowiązywał dotąd, a przedewszystkiem daje nową formę stosunkowi dwojga ludzi tak pojętemu, jakim go ongi chciało mieć chrześcijaństwo. Dopóki te pęta ciążyć będą na ludzkości, dopóty o szczęściu, swobodzie, postępie, nie marzyć człowiekowi. Dlatego też promotorowie likwidacyi stosunków społecznych, mężowie nieubłaganego odwetu, poczynając od Salvat'a na Wilhelmie Froment i całem jego bractwie skończywszy, są wedle Zoli, nie powiemy mężami Bożymi, bo to wyrażenie w świecie, który poruszamy, prawa obywatelstwa mieć nie może, ale są ludźmi chwili, bohaterami, zbawcami, no, czem kto wreszcie chce, i jak mu się ich nazwać podoba. Po ich stronie staje autor „Paryża," staje z całą swoją nienawiścią przeszłości, z namiętnością sądu, z bronią wszelką, jaka mu się pod rękę nawinie, i dlatego też tak często chybia celu, tak nie opatrznie wytwarza sytuacye niemożebne, przeinacza charaktery i niecuje na wywrót właściwości dusz ludzkich i spraw ludzkich, gwoli nagięcia jednych i drugich do obmyślanej akcyi.

Jedne z tych postaci zdradzają tylko niezmierną drapieżność autora, inne grzeszą nieprawdą, kłamstwem jawnem, tak, że najmniej jeszcze krytyczny czytelnik musi po odczytaniu jakiejś charakterystyki osoby i po oddeklamowaniu przez nią zadanej lekcyi, powiedzieć sobie pod wpływem zniechęcenia: „Dobry sobie jesteś, mój panie, ale gdzieżeś ty widział takiego, taką, lub takich?

Ponieważ jednem z założeń autora „Paryża" było przekonać czytelnika, że religia nie jest ani najniezbędniejszą z potrzeb, ani poezyą duszy, ani otuchą, ani podporą, ale że jest natomiast zabobonem, plagą i, jak on się wyraża, oszustwem, przeto wziął z hierarchii duchownej jedną z postaci najpodnioślejszych, i unurzawszy ją w mętach zmysłowości, ukazuje czytelnikowi jako niby odrodzoną duchowo, spotężniałą i teraz dopiero normalną. Najprzód upadek jednostki nie narusza zasady, której ta jednostka służyła zanim upadła, a potem przejście samo z tych Kalwaryi do poziomego ateizmu, przyobleczonego w dodatku dla usprawiedliwienia własnego szału, zbyt jest wyraźne, obcesowe i brutalne, iżby komukolwiek do przekonania trafić mogło. Zresztą o co chodzi? Niechaj z pomiędzy ludzi naprawdę normalnych znajdzie pan Zola jednego takiego, któremuby się Piotr Froment w drugiej połowie swojego życia godniejszym i lepszym wydał człowiekiem niż w pierwszej.

Bredzić jest łatwiej jak przekonać. Piotr Froment jest niezaprzeczenie postacią poczętą w wyobraźni Zoli pod wpływem gniewu i nienawiści—dotknijmy jeszcze kilku pozostałych, które nazywamy skłamanemi.

Skłamanym jest bezwarunkowo Wilhelm Froment, bo wiedza choćby na jednostronny

i uprzedzony umysł zaszczepiona, takie roztwiera horyzonty przed człowiekiem, że dzięki im niedostępnemi dla takich umysłów stają się szały i obłędy właściwe indywidualnościom nierozwiniętym. Wilhelm Froment łamiący ręce nad biednem dzieckiem, zabitem przez odłam bomby Salvata, w miesiąc jakiś potem decyduje się na hekatombę niebywałą, dlaczego? po co? Żeby uwierzono potędze jego środka eksplodującego? Ależ na miły Bóg, jedna próba zrobiona wobec członków ciała naukowego wystarczyłaby zupełnie. Jeśli zaś ten człowiek, ten ojciec rodziny, ten bojownik o sprawiedliwość, mógł się tak rozszaleć dlatego, że jemu starcowi odebrano kobietę, której pragnął, to nie był ani ojcem, ani obywatelem, ani wyznawcą idei żadnej. Był po prostu indywiduum upadłem, miernotą, nędzą duchową, od której taki Salvat jeszcze stokroć wyżej stoi moralnie.

Ta idealna ateistka, ta rzymianka, ta babka Leroi jest idealnie niezdarnym zlepkiem, niegodnym pióra takiego Zoli. Skłamana od początku do końca, najnieprawdopodobniejszą jest w ostatniej akcyi. Kobiety, które odrzuciły religię, wypowiedziały wojnę obyczajom, zaprzeczyły jednem słowem wszystkiemu, są to istoty, które do tego stanu doszły przedewszystkiem drogą rozumowania—błędnego, powierzchownego, wywrotnego, ale rozumowania. Jakimże tu sposobem z istoty wystudzonej, chłodnej, rozumującej na zimno zrobić można niewolnicę, jakąś ślepą wykonawczynię, jakąś dozorczynię haremu, idącą z zawiązanemi oczyma — istotę, która nie myśli, nie krytykuje, nie odważa się sądzić. Każe jej zięć zatlić lont tego kuferka, ona go zatli, każe wysadzić wraz z tem siebie, wnuki, ba! Paryż cały — ona wysadzi wszystkich i wszystko bez zapytania, bez namysłu, bez opozycyi.

To jest urąganie uczciwszy uszy i absurd, i kontradykcya, i pomięszanie właściwości, jakie towarzyszą pewnym stanom duszy kobiecej. Babka Leroi jest po prostu do niczego nie podobna. Tego co jej Zola każe robić dokazaćby mogła jedna tylko kobieta: kobieta-niewolnica.

O Maryi Couturier nad to, co powiedzieliśmy nic więcej do powiedzenia nie mamy.

W „Paryżu" zdaniem naszem, wyszedł Zola z niepodobnych do przeprowadzenia założeń, a w ich obronie okazał się o wiele pośledniejszym psychologiem, i o wiele mniej artystą, jak w któremkolwiek z poprzednich dzieł swoich.

*A. S.*

# NAZNAKOWANY.

### Kartka z życia naszego ludu.

(Ciąg dalszy).

Mijały jednak lata, a pragnienia w rozmiarach właściwych wzrastają w człowieku z wiekiem tak dobrze w jakimś kącie zapadłym, jak i w wielkich ogniskach ludzkiego ruchu—różnice całą stanowi tutaj przedmiot pożądań. To co się Markowi piętnastoletniemu naprzykład zaledwie w głowie pomieścić mogło, o tem osiemnastoletni wyrostek ciągle podniecany namowami rówienników, naprawdę rozmyślać zaczynał. Widział jak inni chodzili do karczmy na tańce, patrzył na to jak się rozochocić może człowiek pod wpływem trunku, a że tego wszystkiego dużo było dokoła niego, a on sam jeden prawie wyjątek od powszechnego prawa stanowił, więc bunt powoli zaczynał się wykluwać nawet w tym uciśnionym duchu. Było tego buntu ilościowo i jakościowo mniej niż w każdym innym człowieku w tych samych warunkach żyjącym, ale bądź co bądź istniał on tam, a czas i okoliczności rozniecały to zarzewie.

Dwudziestu lat dochodził już Marek, kiedy w szczególnie tragiczny sposób rozwiązać się miały jego losy. O twardej jesieni każdego roku odbywał się w miasteczku o małą milkę od Zalesia odległem, jarmark, na który ściągała się ludność nietylko okoliczna, ale nawet z wiosek o kilka i kilkanaście mil odległych. Był to tak zwany jarmark zimowy, na który jechał i szedł każdy, komu nadchodząca zmiana pory roku zaspokojenie jakiejś potrzeby przypominała. I we wspomnieniach dziecinnych Marka majaczyła niewyraźnie ta uroczystość niezrównana, a dzisiaj spotęgowała się ona wszystkimi blaskami długo tłumionych pożądań i pragnień. Na miesiąc może przed nią dopominał się on u Jaśka o zwolnienie z roboty na ten dzień wielki, a że czasu było przed nimi dosyć, więc odbąknął starszy brat młodszemu coś niewyraźnie, co ten jednakże za zgodę i przyzwolenie wziąwszy, jarmarkiem owym głowę sobie nabił doszczętnie.

Ktoby z czytelników miejskich przypuszczał, że dla wszelkiego rodzaju Marków festyn jarmarkowy jest tylko natężonem do setnej potęgi rykiem bydła, kwiczeniem trzody, wyziewem zabójczego odoru nowych kożuchów, wreszcie ścisku, popychania, forsownego wyciągania nóg z rozrobionego na rzadko błota — że jarmark jest tylko tem, a niczem innem, ten myliłby się najnieszczęśliwiej. Jeśli my aż do rozdrażnienia nerwów, aż do poniżenia godności naszej, i aż do śmieszności pożądać umiemy loży na premierę, kąpieli w Trouville, wyścigów na Longchamps i innych w tym rodzaju i smaku zbiegowisk ludzkich, to tamte pierwotne pożądania czerniaw wiejskich dlatego że są o całą przepaść mniej wyszukane, nie są jednakże ani chłodniejsze, ani mniej natężone. Głowę ludzką można tak dobrze wypełnić kiermaszem w Iksinowie, jak najmodniejszą uroczystością, w której jakiś tout-Paris udział przyjmuje.

Kiedy rankiem w dniu jarmarku dowiedział się Marek ostatecznie, że z całego domu on jeden pozostanie, a reszta bez wyjątku idzie na te gody upragnione—kiedy zobaczył ochoczość wybierających się, ich gwary, śmiechy, kiedy mu przyszło z podwórza, na którem stał wsparty o wrota przeliczyć te wózki spieszące, pieszych, jadących konno, a wszyscy tacy ożywieni byli, jak zwyczajnie ludzie, którym nareszcie dopisała długo oczekiwana uroczystość, kiedy to wszystko rozważył, a siebie jednego ujrzał wyjątkiem jakimś odsądzonym, głucha nienawiść zawrzała mu w duszy. Ryk bydła, które powiązane w oborze przypomniało mu spóźnioną o wiele porę wypędzania na pastwisko, bo i ten jeszcze obowiązek dodatkowo włożono dzisiaj na niego, przywrócił mu przytomność. Każdą odwiązaną sztukę błogosławił kolejno szczerem od serca wymierzonem uderzeniem bicza, a kiedy ostatniej dołożył jeszcze we drzwiach samych rzetelne kopnięcie nogi, lżej mu się nieco zrobiło i zakląwszy już tylko: „Bodajeście wyzdychały co do nogi zanim słońce zajdzie," ociężale wlókł się za rogatą trzodą ku gromadzkiemu pastwisku. Po drodze trzeba było przejść trakt idący do miasteczka, i znowu spotkał nieprzerwany sznur wasągów i bryczek, znowu tłum pieszych zdążał drogą, przydróżkiem, miedzami, ścieżkami, na przełaj i w poprzek zagonów—w miarę tego jak kogo mocniej pchała potrzeba, zachcianka, ochota lub nałóg. Na ostatku wlekli się żebracy; szedł chromy Ignac na szczudle, prowadził chłopiec za rękę ślepego, którego Marek przed Zaleskim kościołem widywał w Niedzielę, a i ten kulawy, i ten kaleka ciemny obudzili w sercu Marka zazdrość, jako o wiele odeń szczęśliwsi. Na pastwisku raz jeszcze obsiadły go pokusy, bo tu zastał tylko drobiazg dziecinny, a to wszystko co było wiekiem dojrzalsze kosztowało tam onych rozkoszy, do których ani na chwilę nie przestawał myślą wybiegać. Godziny wlokły się wolno, ruch powoli słabł, teraz szli już tylko maruderzy zapóźnieni, a kiedy słońce jesienne pokazywało nadchodzące południe, cisza zaległa nad okolicą całą, jakgdyby i praca, i życie, i ruch wszelki tutaj zamarły.

Naraz strzeliło Markowi do głowy: A co mi zrobią jak pójdę i ja? Co to ja jestem sługa czy najemnik jaki? On, niby ten Jasiek u siebie jest—to prawda, aleć przecie i Marek pojmował, że on w tym domu także nie jest przybłędą. Jak im nigdy nie pokaże, że i on ma swoją wolę, to go sobie pozbadną ze wszystkiem. Wstał, jakgdyby pod wpływem jakiegoś postanowienia. Strzelił biczem raz i drugi, psem poszczuł bydło, i jął je przyśpieszonym krokiem pędzić ku domowi niewymownie rad ze swojego pomysłu. Żałował tylko, że mu to wcześniej do głowy nie przyszło, i że tyle czasu marnie stracił.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

# KRONIKA.

## *Sprawy miejskie.*

Na terytoryum ogrodu, który przed niedawnym czasem należał do rodziny Kronenbergów, stanęła jak wiadomo nowa i bardzo ozdobna dzielnica w ciągu ostatnich lat dwóch. Domów ogółem wzniesiono tu dotąd trzynaście, wyłącznie trzy- i czteropiętrowych z oficynami. Obecnie wykończają bruki ulic i chodniki, tak że ruch otwarty będzie już w połowie Października. Jak obliczają, zapewne na podstawie danych, pisma codzienne, nowa dzielnica pomieści około 10,000 mieszkańców.

Pomimo, że nowowznoszone budowle mają co do wygody i zdrowotności niezaprzeczone pierwszeństwo przed staremi, pomimo że miasto zyskuje niewątpliwie na zewnętrznym wyglądzie przez budowanie podobnych domów zbytkowych, pomijając ten nawet wzgląd, że tak wielki ruch budowlany musi w końcu wywołać zniżkę komornego, zbliżając ją do średnio-przeciętnych cen praktykowanych w większych miastach Europy środkowej — pomimo tego wszystkiego nie przestaje ta nowa dzielnica robić na nas wrażenia nader przykrego. Bądź co bądź pozostanie ona w dziejach naszej gospodarki miejskiej na długie lata jako pomnik nieopatrzności niedającej się niczem powetować. Żadnymi pozarogatkowymi parkami nie zastąpimy zmarnowania tego ostatniego ogrodu, jaki gorączka spekulacyjna wydarła jego naturalnemu przeznaczeniu. Kopuły, wieżyczki, ornamenta, marmury, wszystko to może być bardzo ładne i bardzo nawet dobrze procentujące, ale od tego wszystkiego lepsze stokroć były te sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt tysięcy łokci kwadratowych zarosłych staremi drzewami.

Pisma codziene donoszą, iż jedna z firm amerykańskich złożyła magistratowi warszawskiemu ofertę zaprowadzenia komunikacyi tramwajowej z motorem pneumatycznym, po rozwiązaniu kontraktu jaki obowiązuje miasto z Towarzystwem Belgijskiem. Jest w tej komunikacyi pneumatycznej wiele bardzo względów, które przy zestawieniu jej z tramwajem obsługiwanym przez elektryczność, dają ściśnionemu powietrzu bezwzględne pierwszeństwo. I bezpieczeństwo tutaj o wiele większe, i cały wogóle nastrój mniej w takim obrocie rzeczy metropolitalny— nie taki gorączkowy, jak przy owej elektryczności, która jest dla wielu ostatnim wyrazem udoskonalenia, godnym zastosowania we wszystkich stosunkach codziennego życia.

## *Z prasy.*

Modne jeszcze ciągle zestawienia porównawcze zarobków klas ludności wiejskiej i fabrycznej nie schodzą z łamów pism codziennych i tygodniowych. Pomimo niezaprzeczonej ważności kwestyi, wyjaśnień wartościowych przybywa nader mało, a to zapewne skutkiem tego, że kompetencya zbierających dane o wiele niedorównywa namiętności ich sądu i pewnym z doktryny powstałym uprzedzeniom, wśród tych mianowicie wszystkich, którzy sobie za specyalność niejako wzięli obronę praw wiecznie wyzyskiwanego. Różne fazy przechodziła ona już u nas ta kwestya szczególna. W miarę jak obniżała się w uznaniu żywiołów wstępujących w życie rola i jej sprawy, winszowano sobie u nas wzrostu przemysłu fabrycznego, podnosząc jego dla klas zarobkujących znaczenie, ukazując przyszłe korzyści w świetle o wiele przesadzonem, porównywając płace w przemyśle z zarobkami pracownika rolnego, ze stałym rozumie się, na niekorzyść tego ostatniego rachunkiem ostatecznym. Dzisiaj pomimo że błogosławieństwa przemysłu okazały się złudnemi zupełnie, pomimo że jawnem jest, iż dla żywiołów przynoszących ze sobą do tych przedsiębiorstw tylko grubą pracę ręczną, niema co mówić o poprawie bytu, ponownie wchodzi sprawa na drogę porównań, przyczem zawsze jeszcze i teraz na marginesie musi sobie zrobić czytelnik świadomy rzeczy adnotacyę, jak tendencyjnością grzeszyć nie przestają sądy pewnych sfer w tem co dotyczy pracy rolnej, i jak zapoznawanemi są dalsze względy niezaprzeczonych korzyści dla człowieka naszego, który się roli trzymać nie przestaje.

Jednym z artykułów mogących rzucić pewne światło bezstronności w ten prawdziwy chaos uprzedzeń, jest pomieszczony w 191 numerze „Słowa" krótki wykaz porównawczy zatytułowany „Los robotników rolnych." Niejedno mielibyśmy w tym rachunku do zmienienia, kilka pozycyi wydaje nam się zbyt nizkich, a inne znowu nadmiernie podniesione, niemniej założenie samo pozwala rzecz przeczytać do końca bez niechęci i bez tego szczególnego uczucia przygnębienia, jakie pozostawiają zawsze programowe napaści naszych niestrudzonych.

## *Zabawy ludowe.*

Nowy ten pomysł przyniesie Towarzystwu Dobroczynności pokaźną sumkę kilku tysięcy rubli. Będzie to zatem danina przyniesiona na rzecz ubogich bezwzględnie, przez tych wszystkich niezamożnych, których od ubóztwa zupełnego dzieli tylko jedna choroba, jedno kalectwo, a zatem jeden jedyny szczebel na niezbyt bogatej w szczeble drabinie naszego społecznego dobrobytu. Towarzystwo, jako instytucya filantropijna nie może być z tego tytułu bardzo krytykowanem, że pod nieobecność możnych uciekło się dla zwiększenia swoich funduszów do posiadających mało, a raczej do nieposiadających nic prócz pracy, bo jego rzeczą jest gromadzić fundusze gdy ich brakować zaczyna, a kto tam już wrzucić zechce do tej puszki, którą ono wystawia, swój grosz ostatni i przedostatni, o to niby instytucya, jako instytucya, pytać się nie potrzebuje koniecznie. Możnaby tam niby w imię dobrego zrozumienia potrzeb zbiorowych, sposobu ich zaspokajania i rozkładu przymusowego lub współprzymusowego, pomówić trochę i z Towarzystwem samem, ale wolimy tym razem pozostawić je na boku. „W braku jegomości niechaj da pan podstarości" powiedział sobie zarząd i w tym celu obmyślił i wprowadził w wykonanie zabawy ludowe.

Inna natomiast zupełnie kwestya, w jaki sposób przyjmuje u nas pewna część opinii, i pewna część prasy tę nowość, która się nazywać zaczyna w Warszawie organizowaniem peryodycznem zabaw ludowych. Czytamy, słuchamy, pytamy i ze zdumieniem prawdziwem dowiadujemy się, że to ma być jakaś era nowa, jakieś spełnienie oddawna zapomnianego obowiązku, coś w rodzaju spłaty zaległego długu, jaki nareszcie zdecydowaliśmy się uiścić leżącej odłogiem sprawie społecznego dobra. Jedni wołają: nareszcie! — inni melancholijnie kiwają głowami jakgdyby powtarzali z uśmiechem: „A przecież domyśliliście się nakoniec," tak że człowiek zupełnie nie odgadujący korzyści, jakie z onej zabawy ludowej na ludność roboczą spłynąć mają, musi nakoniec zastanowić się i do przytomności przywołać, i szukać w myśli tych dróg i tych sposobów, jakimi zabawa w parku Prazkim, czy w jakimkolwiek innym, do dobrobytu, umoralnienia, a choćby uspołecznienia warstw ludności ubogiej przyczynić się może.

Szczególną jest nasza nad temi warstwami opieka, oryginalny patronat, a najoryginalniejszem rozumienie potrzeb i niedostatków tej sfery. Ignorujemy ilość kas oszczędności w naszem mieście, nie porównywamy ilości książeczek w tych kasach z danemi, które nam pod tym względem ogłasza środkowa Europa, spuszczamy z uwagi i pamięci ilość naszych osiemnasto i dwudziestoletnich analfabetów, zatykamy uszy na zatrważające objawy, jakie nam codzienne kroniki wypadków przynoszą, a tak się hałaśliwie ucieszymy odrazu z jednej więcej dla tego ludu sposobności wydania grosza, z jednego więcej zbiegowiska tłumnego, zorganizowanego przez nas samych, jakgdyby z tego właśnie zbiegowiska płynęła nauka, życie i światło — jakby z nich czerpać miały massy potrzebę umiejętnej gospodarki i oględności – jakby w nich było źródło poprawy obyczajów i podniesienie poziomu uczuć obywatelskich.

To chyba nie jest pedagogia, to nie jest wytykanie kierunków ani wskazówka, jaka się młodszym i mniej oświeconym od dojrzalszych i świadomszych należy. Jakkolwiek rozpowszechnienie u nas drukowanego słowa ani w części nawet nie jest takie, jakby sobie życzyć należało, pamiętajmy jednak, że mamy już i tego niekrytycznego czytelnika ilość o wiele znaczniejszą niż mieliśmy kiedykolwiek, że dziś już i na ławce stróża kamienicznego, i na koźle dorożkarskim i w kuchni, i w przedpokoju znajdzie się jakiś świstek peryodyczny, i że dlatego z większą oględnością pisaćby należało o potrzebach społecznych, niż się pisuje, i konsekwentniej obmyślać porządek zaspakajania różnorodnych potrzeb warstw nieoświeconych i współoświeconych.

Łatwiej jest w każdym razie organizować zabawy, jak udowodnić, że stanowią one jeden z naglejszych braków w życiu warstw pracujących naszej ludności miejskiej.

## *Nowa linia drogi żelaznej.*

Tyle razy zapowiadana i po tyleż odwoływana kolej żelazna między Warszawą a Kaliszem, o ile się zdaje, tym razem wchodzi w fazę nową i zupełnie nieoczekiwaną. Projektodawcą jest podpułkownik sztabu okręgowego wojsk p. Tyzenhaus, który na podanie swoje do ministeryum kommunikacyi otrzymał w ostatnich czasach zupełnie przychylną odpowiedź, wraz z pozwoleniem na rozpoczęcie studyów technicznych wstępnych. Kolej p. Tyzenhausa będzie elektryczna, o torze szerokim, po którym motory elektryczne prowadzić mają całe pociągi złożone ze zwykłych wagonów kolejowych. Stacye zaopatrujące linię w siłę elektryczną, zbudowane będą co 100 wiorst główne, a pomocnicze co 20 wiorst. W tych dniach, jak donoszą pisma codziennne, cztery partye inżynierów rozpoczynają studya.



Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami, arkusz z krojami i prospekt „Gazety Polskiej" na rok 1898.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Августа 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

# ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

— Szambelan Fürstemberg musi mieć silne w Wiedniu stosunki? Ma przecież jednego wuja ministrem, drugiego kardynałem, nadto massę krewnych przy dworze i w wojsku?

— Zapewne; cóż mi potem?

— Pan hrabia także zachowałeś dawne znajomości?

— Bezwątpienia. Książę kanclerz zawsze na mnie jednakowo łaskaw. Rozumiesz jednak, że gdybym prosił o pieniądze...

— Rozumiem, bardzo dobrze rozumiem. Nie o to chodzi. Za ostatnim pobytem we Lwowie, widziałżeś się pan hrabia z księdzem Zefirynem, prowincyałem Jezusowego Zgromadzenia?

— Byłem u niego dwa razy; głowę ma nie dla kształtu i język płytki, jak turecka szabla. Cóż dalej?

— Sądziłbym, że niepotrzebnie suszymy mózg kontraktami. Sprawa nasza daleko łatwiejszą, aniżeli się wydaje.

— Jakto? nie rozumiem cię, mów, gadaj księże!

— Będę prosił o arkusz listowego papieru. Pan hrabia przeczyta.

— Masz! siadaj, pisz — spiesz się!

Kapelan złożył papier we dwoje, przyciął pióro, chwilę pomyślał, i wkrótce szybko zaczął pokrywać papier głoskami. Sokolnik wsparł się za nim na poręczy, czytał mu przez ramię wyrazy w miarę, jak wypadały z pod pióra.

List był następującej osnowy:

„Najprzewielebniejszy Ojcze!

„Ostatnia rozmowa, jaką w wigilię mego wyjazdu ze Lwowa, na trzeci dzień Świąt Bożego Narodzenia, miałem zaszczyt mieć z Waszą Excellencyą, głęboko utkwiła mi w pamięci. *Illustrissima verba* Waszej Excellencyi znajdują potwierdzenie za każdym niemal krokiem. Wiara stygnie. *Juventus* albo *nolit studere*, albo też co gorsza, *horribile dictu*, chłonie w siebie pryncypia Beliala, zgubne dla Matki naszej Przenajświętszego Kościoła rzymsko-katolickiego. *Tempus, magnum tempus quærere salutem.* Jeżeli edukacya młodzieży długo jeszcze pozostanie w rękach profanów, *futura generatio*, pójdzie *ad inferos*. Jedyna *spes salutis* w uzyskaniu przywileju, na mocy którego wychowanie młodzieży powierzonoby wyłącznie świętym staraniom Ojców *Societatis Jesu*. *Talis fuit opinio* Waszej Excellencyi, takie też i moje zdanie, i sąd wszystkich przywiązanych owieczek jednej owczarni. O mojem zdaniu wspominam jak o gorącej nadziei niegodnego sługi, który w przyczynie wedle słabych sił do *publicum bonum*, całe zakłada szczęście.

„Kolator mój JW. Sokolnik, *vigilans custos* o dobro Kościoła, kilkakrotnie powtarzał mi, że *possibile est* wyrobić u rządu przeniesienie wszystkich edukacyjnych funduszów na rzecz Kollegium *patrum Societatis*, głównie zaś tych, które świętem prawem przynależą Zgromadzeniu *ex re* zapisu *æternae memoriæ* Samuela Głowińskiego. W tym nawet celu JW. Kolator mój, zaprosił do siebie na wieś *illustrissimum hospitem* szambelana Fürstemberga, siostrzeńca *eminentissimi principis Ecclesiae* kardynała Szwarcemberga, bratanka ministra spraw duchownych i oświecenia publicznego, tudzież krewnego wielu potentatów zaszczyconych *favore imperiali*. Według tego wszystkiego *quod hic dicitur*, sprawa *translationis*, może być na przychylnej stopie w Wiedniu postawioną, tembardziej, że sam *illustrissimus optimusque colator meus*, obiecuje poprzeć ją całą potęgą znakomitych stosunków swoich i wpływów.

„Brakuje nam tylko pewnych liczbowych wyjaśnień względem *quantitatis* edukacyjnych funduszów, pozostałych po ś. p. Samuelu Głowińskim, i miejsca, gdzie takowe są intabulowane.

„Gdyby Wasza Excellencya raczyła nas w tej mierze oświecić, moglibyśmy *cum majori lumine* naprzód kroczyć, i *conclusio felix causae* zyskałaby na pośpiechu.

„Taka jest pokorna prośba najpoddańszego w Jezusie, Waszej Excellencyi sługi i brata.

„*P. S.* Dodaję kilka słów z prośbą o radę w sprawie żywo obchodzącej *illustrissimum meum colatorem*. JW. Sokolnik potrzebowałby, podczas kontraktów, mieć w skarbie swoim trzydzieści tysięcy czerwonych złotych. Summa ta jest mu niezbędną do traktowania z ludźmi, do których *infame aurum*, więcej przemawia niż święte słowo. Z ostatnim dniem kontraktów, pożyczka własnemi mojemi rękami i w całkowitości, *integraliter*, zwróconąby została *honestissimo benefactori*. Tak mi dopomóż Panie Boże, o którego łaskę dla Waszej Excellencyi nie przestaje codzień błagać *humillimus ac obedientissimus servus*.

Serafion Tapczyc, SS. Jesu *mp.*"

Ksiądz wzrokiem list odczytał, do wielkich głosek pododawał zakręty, nad niektórymi wyrazy w przypisku poznaczył drobne kółka i krzyżyki. Sprzysiężeni Zgromadzenia Jezusowego, używali niekiedy między sobą tajemnych znaków, które wykrywały prawdziwe znaczenie myśli, stwierdzały wiarogodność przysięgą, wyrażały konieczność, naleganie, zwłokę lub odmowę.

Tym razem Ojciec Zefiryn odbierał natarczywe żądanie pieniędzy, zapewnienie ich zwrotu, wzamian za pomyślny obrót sprawy przeniesienia funduszów edukacyjnych po ś. p. Samuelu Głowińskim.

— Przeczytał pan hrabia?—zapytał ksiądz, wycinając kopertę.

— Od deski do deski, ale nie dość na tem; musisz mi wyjaśnić, co teraz pozostaje do czynienia.

— Nic panu hrabiemu nie powiem, czegoby już nie było w liście. Szambelan za rządowemi sprawami przyjechał do Lwowa. Zapewne zda raport o wszystkiem co mu pod oczy podpadnie. Szkoda tylko, że panicz śród balów i rozrywek tak dalece zapomniał o obowiązkach, że dziś byłby w stanie zdać sprawę o kuchni ledwo, o winie, o muzyce galicyjskiej i o lwowskich kobietach.

Są to bezwątpienia rzeczy godne uwagi, ale książę kanclerz zajmuje się niemi raczej w Wiedniu, aniżeli we Lwowie.

— Postarajmy się więc dopełnić chrześcijańskiej powinności i wybawić Szambelana z kłopotu, nastręczając mu piękną pracę o stanie wychowania publicznego w Galicyi. Przedmiot głęboki, żywotny pod względem religijnym, politycznym i moralnym. Jestem przekonany, że wystawienie tej kwestyi w prawdziwem świetle zjednałoby w świecie urzędowym wielką sławę autorowi.

— Nieprzeczę; gdzież chcesz atoli zaprzęgać Szambelana do podobnej pracy.

— Bynajmniej, panie hrabio—Szambelan niepotrzebuje brać pióra do ręki. Ksiądz Zefiryn od roku ma sprawozdanie gotowe. Idzie tylko, aby gość nasz przedstawił je w swojem imieniu, abyście oba panowie poparli wnioski całą siłą stosunków, jakie macie w Wiedniu. Pod tym warunkiem, sądzę, że ojciec Prowincyał nie odmówi nam żądanej w przypisku usługi.

— Zadziwiasz mnie; nie domyślałem się, aby Zakon mógł na pierwsze zawołanie rozrządzać tak znacznemi sumami. Musicie mieć ogromne kapitały?

— Zakon nie posiada żadnych kapitałów; ma wierne sługi, które nieszczędzą życia i majątków, ile razy toczy się rzecz o dobro kościoła.

— Uważaj jednak kapelanie, jeżeli, jak powiedziałeś w przypisku, za kilka dni obowiązujemy się zwrócić pożyczkę, przysługa ojca Zefiryna nie ma dla mnie żadnej wartości. Czy nie możnaby wyjednać rocznego lub dwuletniego terminu?

— Zakon nie jest bankierem, nie handluje pieniędzmi; obowiązuje bez procentu ludzi zasługujących na jego względy. Z dwuletnim terminem, nie wiem, czy dostalibyśmy tysiąc dukatów. Nie zapominaj pan hrabia, że nam idzie o trzydzieści. Zanim przystąpimy do układu z wierzycielami, pokażemy im w gotówce sumę przewyższającą ich wymagania. Upewniam, że skoro tylko zobaczą pieniądze, na wyścigi będą dopraszać się o zatrzymanie wierzytelności na hypotece lub nawet bez hypoteki. Co więcej, zewsząd sypną się ku nam prośby o przyjęcie nowych kapitałów. Kredyt nasz ustali się na granitowych podstawach. Zniknął niepokoje, wróci swoboda, a tymczasem... tymczasem hrabianka może bogato pójść za mąż...

— Tymczasem, kochany księże, zyskamy nieoceniony kapitał: czas! Wyborna rada. Pozwól, niech ci uścisnę tę rękę, która, niezaręczam, czyli już ongi nie wyglądała z purpurowego rękawa Richelieu'ego, lub z koronkowej komży Mazarina. Błogosławiona myśl przyszła ci do głowy.

— Każda myśl jest błogosławioną, skoro tylko zaczyna od dobra Kościoła...

— A kończy na naszem — przerwał śmiejąc się dygnitarz. Wróciłeś mi humor, księże; niedarmo nazywają was lekarzami duszy. Prowadźże dalej zaczęte dzieło, wypraw natychmiast konnym posłańcem list do Lwowa, i następnie zajmij się szambelanem. Licz na moją pomoc; czekam cię w salonie.

Obaj wybiegli nawzajem z siebie uszczęśliwieni.

Podczas gdy Loyolita promienną przed sobą rozglądał przyszłość, Sokolnik, osiwiały motyl, trzpiot jedną nogą chylący się ku mogile, rozfanatyzowany czciciel własnej wygody, bałwochwalca blaszek, szychu i folgi, jakie wypasiona na próżniactwie pycha na nim pozaczepiała—stary dzieciuch, z naiwną lekkomyślnością uganiał się za cackami, nie bacząc czyli mu pod stopą pękało sumienie, czy brodził w potokach łez, czy tuczył się cudzą krwią. Roztrzepaniec wydmuchnięty pańskiem wychowaniem, byłby w chwili zabawy rozbił głowę człowiekowi jak lalce, dla obaczenia co się w niej znajdowało.

W Galicyi nazywano Sokolnika po imieniu, jak króla. W istocie magnat pod wielu względami trzymał berło, przed którem chylili czoło ludzie równego mu nawet urodzenia. Wesołość miał niewyczerpaną, twarz zawsze rozpogodzoną, uśmiech zadowolenia wiecznie rozkwitły na ustach, jako sami możecie przekonać się i w tej oto chwili, gdy żonę z córką i z Kazimierzem wsadza do pierwszego powozu, sam zaś w drugim, z księdzem i z szambelanem, jedzie do odległego o milę lasku, gdzie go czeka suto zastawiony podwieczorek.

Jednostajność wiejskiego życia przerywają niespodzianki—szerokie pole dla gościnności gospodarza i dowcipnych wymysłów gospodyni. Los tym razem przychodził w pomoc Sokolnikowi, i od siebie gotował mu niespodziankę.

Na pół drogi od celu przejażdżki, leżała nędzna wioska. Polepione z gliny chałupy, w ziemię zapadłe ze wstydu przed słońcem, świadczyły o bycie, jakim cieszyli się włościanie magnata. Do koła, ani jednego wesołego drzewa, ani jednego ogródka, ani jednego kwiatka; widok smutny i bolesny, dla zwyczajnych ludzi, obojętny zapewne dla troglodytów zrodzonych śród tego upokorzenia natury.

Pomimo roboczego dnia, niezwykły ruch panował w Zagłuszewie. Krzątano się, zwijano, biegano tu i owdzie; zdaleka dochodziły krzyki i gwałtowne nawoływania.

Na końcu wioski, odosobniona nieco od rozłachmanionych towarzyszek, paliła się chata. Ogień dogryzał resztki ścian i sprzętów; korzystając z ciszy wiosennego wieczoru, prostym słupem pędził w niebo, pełzał jaskrawymi płomyki u stóp dymnika ponuro rozsiadłego na zgliszczach zpopielonej budowy. Garstka ludu, z założonemi po większej części rękami, otaczała miejsce klęski.

O kilka kroków od progu, na osmalonej skrzynce, siedziała podeszła w lata niewiasta. Z osłupiałym wzrokiem, jedną ręką grzebała machinalnie w popiele, drugą ocierała oczy, ile razy wiatr sypnął jej w twarz iskrami i dymem. U nóg jej, młoda wieśniaczka z dzieckiem u piersi, zanosiła się od płaczu. Kilkoletni chłopak i tegoż wieku dziewczynka, oboje na pół nadzy, obojętnie rzucali kamieniami w ogień. Łkania młodej matki przerywały milczenie dotkniętej klęską rodziny.

Natomiast, po drugiej stronie chaty, od wioski, wrzawa i krzyk coraz się wzmagały. Słychać było zwłaszcza jeden ochrypły głos, miotający bezustannie bluźnierstwa, przekleństwa i niecne obelgi. Sokolnik właśnie nadjeżdżał, gdy tenże sam głos wrzeszczał dogorywającemi siły:

„Związać w kij łotra, hultaja, opryszka; postawić przy nim dwóch strażników! Zaczekaj podpalaczu, rabusiu, zginiesz ty pod bizunem w więzieniu, albo dą Bóg, i na szubienicy! Odpowiadacie mi za niego. Ani na krok go nie odstępować!"

Widok nadjeżdżających pojazdów, uciął nagle dalsze pasmo wykrzykników. Człowiek, przeciw któremu srożył się jegomość ze szlachecka wytarto ubrany, nie stawiał żadnego oporu. Sam oddał ręce pod postronki, zuchwale nogę naprzód wysunął, wyprostował wyniosłą postać i zdziczałym wzrokiem poglądał na ulatające w powietrzu ostatnie zakłęby dymu.

Sokolnik zdjęty ciekawością kazał zatrzymać się powożącemu.

— Cóż się tu dzieje, panie Ekonomie, zkąd pożar wybuchnął, co znaczy ten związany człowiek?

Dozorca, z czapką w ręku, podskoczył do powozu, chciał odpowiedzieć, otworzył usta, ale wysilony głos długiem nadużyciem, odmówił mu posłuszeństwa.

— Gadajże Acan! straciłeś mowę?

— JW. Grafie — wybąknął ekonom doczekawszy się nareszcie języka—psie plemię!... do kajdan stworzone! juz i z batogiem niedoszukasz się ładu. Łotr, zaledwie całej wioski nie puścił z dymem. W samo południe podpalił własną chałupę. Ludzie nadbiegli na ratunek; hultaj nie pozwalał gasić, groził, że pierwszemu co z wiadrem przystąpi, głowę pałką rozbije.

Przyjezdni okrzykiem zgrozy odpowiedzieli na słowa ekonoma; kapelan i Sokolnikowa miłosiernie westchnęli do Boga; szambelan wzrokiem pogardy zmierzył złoczyńcę; Kazimierz do rysów i postawy obwinionego stosował psychologiczne swoje teorye; Marya spoglądała nań z przerażeniem.

— Masz Acan świadków na poparcie tego, co mi powiadasz?—zapytał pan włości.

— Cała wieś, JW. Grafie, zaświadczy; niegodziwiec wreszcie sam do wszystkiego się przyznaje.

— Tem lepiej; sprawa niedługo potrwa, obwieszą go bez ceremonii. Czy pytałeś Acan co go do zbrodni spowodowało?

— Pytałem, nie chce odpowiadać.

— Szatan go opętał! — westchnął kapelan.

— Człowiek ten — rzekł Kazimierz półgłosem do Maryi, wcale nie wygląda na zbrodniarza, czoło ma szerokie, wyniosłe, wzrok spokojny, otwarty.

— Czemuż więc przypisać?

— Ukrytym jakimś przyczynom... może chorobie umysłu, monomanii.

— Wyleczy się z niej w kajdanach — dodał Sokolnik, którego uszu doszły ostatnie słowa. Księże kapelanie, wy przyzwyczajeni jesteście do rozmaitych badań; zapytaj go, skąd mu przyszła chętka zapalić wioskę; może szczęśliwszym będziesz od ekonoma? Hola! każ go Acan przyprowadzić tu, do powozu.

— Słuchajno przyjacielu — rzekł ksiądz z łagodnym uśmiechem — popełniłeś straszną zbrodnię, obraziłeś Boga i pana Grafa; czeka cię odpowiednia kara, którą przecież możesz złagodzić, przyznając się szczerze do winy.

— Ja się nie zapieram, dobrodzieju — odparł winowajca śmiało patrząc mu w oblicze—ja sam podłożył ogień, własną ręką, w samo południe.

— Co cię do tego skusiło? dla czego chciałeś wioskę spalić, pana i tyle ludzi na nieszczęście narazić?

— Gdybym był dybał na ludzką biedę, byłbym w nocy chałupę zapalił. Ja chciał tylko zbyć własnej chudoby.

— Czy masz żonę, dzieci?

— Jest kobieta, stara matka i czworo dzieci.

— Swoich więc chciałeś wyprawić z torbą o żebranym chlebie?

— Swoich, Dobrodzieju.

— Cóż ci zawinili?

— Nic. Matka ledwo nogi powłóczy, kobieta od świtu do nocy przy robocie. Panie Boże daj taką każdemu.

— Ona tego o tobie nie powie, ona cię będzie przeklinać. Zamiast dopomagać jej w pracy, zmuszasz ją do wyciągania ręki.

Doma byliby wszyscy prędzej z głodu pomarli, a dopókąd chałupa stała, żadne nie chciało ruszyć w świat.

Szczególniejszy sposób zachęcania do podróży! — rzekł Sokolnik — widzę jednak mój przyjacielu — mówił dalej, odbierając księdzu słowo — że w około ciebie ludzie pracują, a z głodu nie umierają. Ale ty zapewne częściej włóczyłeś się do karczmy niż na pole?

— W święto nawet JW. Grafie, ja do karczmy nie chodził. Sołtys zaświadczy, kto przed słońcem szedł do roboty, kto po słońcu ostatni powracał?.

— Bardzo słusznie; jeżeli jednak, jako mówisz, szczerześ pracował, jakimże sposobem popadłeś w nędzę?

— Skoro bieda raz komu na strzesze usiędzie, nie wygnasz jej ani z Bogiem ani z dyabłem. Łońskiego roku do samej Wielkanocy, dla siebie i dla ludzi, dostatkiem było chleba w chałupie. Dopiero wedle Zielonych Świątek, mor wytłukł dobytek. Na jesień nie było czem sprzątnąć, na zimę czem zaorać. Na przednówku już niestawało chleba. Chodziliśmy na najem, ja i dziewka moja Hanka; kobieta ostawała doma, pilnować starej matki i jeść dzieciom gotować. Na Nowy Rok, pan rządca kazał wziąć Hankę na folwark.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

Przedmioty Gospodarstwa Domowego
*Jerozolimska 72*

# MAGAZYN „METROPOL"

Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo
*Jerozolimska 72* 766—50—49

---

**Gabinet-dentystyczny.**
ze specyalną pracownią do wstawiania
**ZĘBÓW SZTUCZNYCH**
od 1 do 10 rub. za sztukę
818-52-26 przyjęcie od 9 do 6:
Chmielna N-r 16. m. 4.

---

Po dziesięcioletniej praktyce w pierwszej haftarni Panny Bobrowskiej, otworzyłam pracownię haftów i przyjmuję roboty maszynowe i ręczne. 759-24-21
**Miodowa Nr. 1.**
**miesz. 17, 2 brama 1 piętro**

---

**NOWOŚĆ**
*Gotowe Stemple - Monogramy Metalowe*



Niezbędne i praktyczne dla każdego do znaczenia bielizny domowej, drukowania na papierze, kopertach, książkach i t. p. Cena tylko 20 kop. Poduszki niewysychające z niewypierającym się tuszem do znaczenia bielizny po 25 kop. Polecam także wszelkie stemple dla Kantorów, Banków i Urzędów. 952-10-2
**Drukarnia i Fabryka Stempli**
**I. D. LEWINSOHNA**
w Warszawie, Magazyn: Senatorska 30 wprost Kościoła.

---

NOWY ZARZĄD
**CZYTELNIA DLA KOBIET**
Warecka 9.
Stale zaopatruje z nowości wszystkie działy. Bogaty dobór dzieł poważnych oraz klasycznych w 5 językach. Dla abonentek bez dopłaty 18 czasopism w 4 językach. Abonament miesięcznie 40 kop. 817—32—9
Wysyłka na prowincyę.

---

*„Sudorivorat"*
Potniki do obuwia męzkiego i damskiego. Obstalunki od rs. 3 załatwiam za zaliczeniami. Nowy Świat 61. 908-24-9

---

ZAKŁD GALWANICZNY
**JANA ZABOKLICKIEGO**
b. Galwanizera firmy „Iflanda i p. Filipskiego"
**Senatorska № 28-30,**
(dom Hr. Zamojskiego)
Przyjmuje złocenie, srebrzenie, niklowanie i oksydowanie wszelkich metali.
894—25—8

---

**„PRIMUS"**
Kuchenki naftowo - gazowe palące się ***bez knota***, nie wydzielając odoru i kopcia.
Sprzedaż u
Ed. Dusoge
***Nowy Świat 5.***
Cenniki gratis i franco. 945—25—3

---

**W. W. Paniom**
Wyborowe i zawsze świeże
***Ciasta i Cukry***
poleca 914—20—8
**CUKIERNIA**
**W. Ładewskiego**
***Leszno Nr. 14.***

---

**K. M. Schröder**
Nowy Świat 24.
**Skład fortepianów i pianin.**
**Wynajem i sprzedaż na raty.**
Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**
944—52—3

---

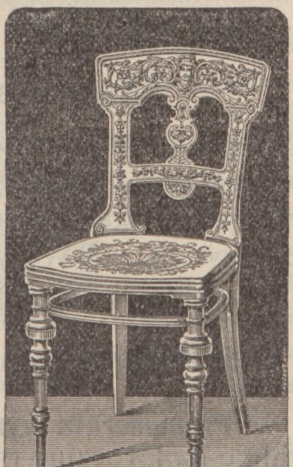
## Fabryka Perfum i Mydeł Toaletowych
## A. SIOU & C° W MOSKWIE
**Egzystująca od roku 1861**

Nagrodzona na wielu wystawach w Cesarstwie i zagranicą najpierwszemi nagrodami
Polecając Sz. Publiczności wszelkie wyroby perfumeryjne nie ustępujące dobroci najlepszem wyrobom francuzkim, zwraca uwagę na nowo wypuszczony gatunek Mydła.
**Glicerynowo-Wazelinowe**
**„Mydło młodości" „Sekret piękności"**
Reprezentant na Królestwo Polskie Gubernie Grodzińską i Kowieńską
**F. HASSENBERG** 950—3—1
*Warszawa, Wspólna 15.*

---

Szkoła rękodzielnicza dla kobiet
## Kazimiery Mączyńskiej
**ul. Mazowiecka Nr. 11 m. 8, w Warszawie.** 932-6-1
Przyjmuje uczenice i przychodnie pensyonarki. Program i warunki na żądanie wysyła się.

---



NAJWYŻEJ ZATWIERDZONE
AKCYJNE TOWARZYSTWO
**Fabryki Mebli Wiedeńskich**
## JAKÓBA i JÓZEFA KOHN
*Warszawa, Plac-Teatralny № 11.*
Poleca
wielki wybór najgustowniejszych i najelegantszych mebli wiedeńskich,
a mianowicie:
**MEBLE ZWYCZAJNE, MEBLE FANTAZYJNE, MEBLE BUDUAROWE, MEBLE GABINETOWE, MEBLE SALONOWE i t. p. wyplatane, wypalane, imitacya skóry w różnych kolorach i deseniach, kryte materyą, skórą, pluszem i t. p.**
957-6-1
Pierwsze źródło tej branży.
**CENY PRZYSTĘPNE.**

---

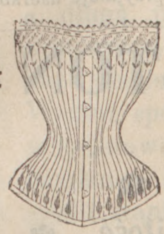
Od Administracyi Albumu Artystycznego
# „PANORAMA"

Nowe wydawnictwo albumowe polskie wychodzi w Warszawie zeszytami. Całe wydawnictwo obejmie 24 zeszyty, podzielone na 4 serye.
Serya I **Nasze piękne artystki**, II **Nasi artyści**, III **Obrazy znakomitych malarzy**, IV **Piękne Polki.**
*Warunki prenumeraty w Warszawie:* Pojedyńczy zeszyt kop. 60, w przedpłacie za 4 zeszyty po kop. 50 za zeszyt. *Na prowincyi:* Cena pojedynczego zeszytu kop 60 i 10 kop. za przesyłkę pocztową. w przedpłacie za 6 zeszytów rs. 3 kop. 60 wraz z przesyłką.
Wszyscy bez wyjątku posiadacze całego dzieła bez względu czy je nabyli częściowo lub drogą prenumeraty otrzymają
## *bezpłatne premium*
swój własny **portret fotograficzny** matowy na brystolu formatu 40×50 centym. jedynie za złożeniem fotografii. 943—8—4
Adres Administracyi: Warszawa, Nowy-Świat № 61, *A. HINCHA i S-ka.*
Do nabycia we wszystkich księgarniach. Pierwszy zeszyt wyszedł z druku.

---



W. W. Paniom poleca się
**nagrodzony na wystawie pracy kobiet**
PATENTOWANY SZYNDLERA
## BIUSTHALTER
**Marszałkowska 118 I-e piętro.** 776B—20—18



---

**Nowo-otworzona**
PRACOWNIA i MAGAZYN Ubiorów DZIECINNYCH i UCZNIOWSKICH
## CH. KOTOWICZA,
*w Warszawie, ulica Ś-to Jerska № 40, I-sze piętro od frontu*
Poleca wszelkiego rodzaju ubiory dziecinne i uczniowskie Ubranka, Paltociki, Bluzy, Mundury, Szynele i t. d. Przyjmuje różne obstalunki wysyła na prowincyę za zaliczeniem.
**Ceny stałe.** 955—4—1

---

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Sukien
**J. Królikowskiej**
Niecała № 7, Marszałkowska № 114.
Polecają najnowsze fasony na każdy sezon po cenach umiarkowanych. 726—25—24

---

**Była Nauczycielka**
przyjmuje na stancyę kształcące się panienki w różnych zakładach naukowych. 923-3-3
Fortepian na miejscu. Cena nizka.
***Złota 36—33.***

---

**DENTYSTA CHWAT**
*Królewska 29.*
**Specyalność:** Leczenie i plombowanie zębów — **Zęby sztuczne** od 9-ej do 11-ej rano wyjmowanie chorych zębów pod **Chloroformem** w obecności lekarza. 937-25-4

---

**Zakład naukowy 6 kl.**
## MARYI RAUM
przeniesiony został
***na ulicę Foksal 13.***
Zapis uczennic przychodnich i pensyonarek od 25 Sierpnia, kurs nauk 5 Września. 946-3-3

---

NANON
najlepsza, najtańsza pomadka, dostać można wszędzie.
866—13—11
**D. Sukiennik**
Królewska 16.
NANON

---

**Maszynki do mięsa bez noży**
**Maszynki do wyjmowania pestek z wiśni**
**Maszynki do zszywania próbek**
**Rowery damskie** 898-15-11
polecają:
**JULJUSZ HEGNER i S-ka**
WARSZAWA
***Plac Ś-go Aleksandra № 8.***

---

**Dla Pań malujących**
Farby, Przybory Artystyczno Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład
## T. CZARNOCKIEGO
**101, Marszałkowska 101,**
w WARSZAWIE. 812-50-26

---

**S. KRZEWSKI i K. PŁODOWSKI**
dawniej
M. SZYMAŃSKI
**Skład Towarów Żelaznych i Galanteryjnych**
***w Warszawie, Senatorska № 10***
poleca: **Naczynia kuchenne i gospodarcze oraz wszelkie narzędzia.** 913-28-1

---

SPECYALNY ZAKŁAD
**Reparacyi maszyn do szycia**
**W. KALINOWSKI**
Wspólna Nr. 15 785-50-36

---

**Ważne dla pp. Krawcowych!**
**Kroazy we wszystkich kolorach, Niciani, Towary Norymberskie i wszelkie dodatki do sukien** po cenach najniższych 768-25-21
poleca Magazyn
## M. SADOWSKIEGO
**7. PODWALE 7.**